



Andrzej Marek Ostrowski

część III z IV

Sygnatura notacji: **N1201**

Data urodzenia: **13.04.1938 r.**

Data nagrania: **13.10.2017 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 52 min, część III: 53 min,**

Format nagrania: **video**

część IV: 61 min

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Andrzej Ostrowski: Chodziłem do szkoły na ulicy Raszyńskiej. To była podstawowa szkoła nr 16. W szkole bardzo chętnie brałem udział we wszystkich zajęciach sportowych. Bardzo nam imponowali sportowcy wszelkiego rodzaju. Wtedy Wyścig Pokoju już był. W każdym razie takie zajęcia WF-u były przede mną bardzo lubiane. Ponadto po zakończeniu zajęć szkolnych, w związku z tym, że do domu niechętnie wracałem, zresztą w domu nikogo nie było, bo zarówno ojciec, jak i matka pracowali, to myśmy się spotykali na Polu Mokotowskim i tam różnego rodzaju zawody żeśmy sobie organizowali. A to w rzucie kamieniem, a to w grze w „Zośkę”. „Zośka” to był taki twór z wełny, z nitki wełnianej, do których przyczepiony był ciężarek ołowiany. I chodziło o to, żeby jak największą ilość razy odbić ją w powietrze. Liczyło się albo się grało na tak zwane „odpulane”, czyli trzeba było raz ją podbić do góry i później kopnąć, żeby jak najdalej leciała. I z przeciwnej strony kolega brał tą „Zośkę” i starał się w drugą stronę kopnąć. No i takie były zabawy. Były też takie spotkania, gdzie ustalaliśmy hierarchię szkolną, czyli nazywaliśmy to „smarowaniem się”. Po prostu były bijatyki. Walczyliśmy na pięści. Były bardzo proste zasady tej walki, że jak ktoś przewrócił się, to przegrywał i jego się już nie kopało. Natomiast dopóki stał na własnych nogach, to to była walka. To rodzaj boksu było, bo jeszcze zapasów nie znaliśmy. Żadnych chwytów nie znałem wtedy także. Poza tym były „walki na koniach”, to dobierało się jakiegoś kolegę o większej masie ciała i siadało się na plecach. Trzymało się go za barki i przeciwnik też na takim samym rumaku siedział i kto kogo przewróci? To było bardzo, bardzo popularne. Z takich jeszcze rozrywek. No myśmy byli. No, pomyśleliśmy niesamowite. To pamiętam, że trafiłem na sporo takich książek podróżniczych, lubiłem czytać. Przeczytałem taką książkę „Biały wieloryb” Melvill’a. Jak dziś pamiętam autora... I tam był opisany kapitan Ahab, który polując na wieloryby i gdzieś tam koło Nowej Funlandii został zaatakowany przez wieloryba albinosa, który mu odgryzł nogę. No i on go po całym świecie później szukał, żeby go ukatrupić, żeby się zemścić. I nam zaimponowali Ci harpunnicy. Myśmy

porobili sobie prymitywne harpuny z dużych igieł, tzw. groszówek i na gumce i kawałku nitki się strzelało z tego harpunu i on odwracał się. I pierwszym takim obiektem do strzelania to był kaktus w naszej klasie. A później to zaczęliśmy nawet koleżankom w pośladki strzelać. Tak że później była draka. No ale to nie o tym chciałem mówić. Z takich bardziej porządnych zajęć to przyszło mi zapisać się do modelarni, najpierw lotniczej to pamiętam. Na ulicy Wiejskiej była modelarnia. Tam dwa razy w tygodniu jeździłem. Najpierw robiliśmy balony z papieru, ogrzewane takim palnikiem, takim zniczem. A później szybowce robiliśmy. I to mi się bardzo podobało, bo tam potrzebna była precyzja w obróbce tych żeberek, które stanowiły konstrukcję skrzydła. No ale później zapisałem się do Ligi Morskiej. Liga Morska wtedy była na Czerniakowie, na Półwyspie Czerniakowskim. No i to mnie bardzo, że tak powiem, wciągnęło. W tej Lidze Morskiej były szkolenia najpierw teoretyczne, był kurs teoretyczny na żeglarza. Byłem strasznie dumny. W związku z tym, że się nie najlepiej uczyłem, to bałem się powiedzieć rodzicom, że tam się zapisałem i to trzymałem w tajemnicy. Bo jeszcze w międzyczasie mama wiedząc, że jestem łobuziakiem, to chciała mnie... Zapisła mnie do kościoła Świętego Jakuba na Placu Narutowicza, żebym był ministrantem. No początkowo mi się to podobało, bo tam rówieśnicy byli, można się było spotkać. I był taki ksiądz Durka się nazywał, jak dziś pamiętam, który wyświetlał filmy kowbojskie. No i to mi się najbardziej podobało w tej całej ministrantury. Z tym, że ksiądz miał taki zwyczaj, że jak się kończył ten nie semestr, a półrocze, to trzeba było przynieść dzienniczek z ocenami. Jak zobaczył moje oceny, a szczególnie z zachowania, to powiedział, że nie ma filmów dopóki nie zacznę, nie poprawię tych ocen. To ja mówię, że jak tak, jak nie ma filmów, to ja nie będę tu przychodził. No i tak się skończyło moje ministrantowanie i zapisałem się tam do tej Ligi Morskiej, czego rodzice nie wiedzieli. Początkowo chodziłem potajemnie tam. Myśleli, że ja chodzę do tej modelarni, a ja chodziłem tam na szkolenie żeglarskie. I proszę sobie wyobrazić, że pierwszym wykładowcą teoretycznego kursu był Leonid Teliga, znany żeglarz, który jako pierwszy po wojnie opłynął samotnie Świat dookoła. No, ciekawy bardzo człowiek o dużej wiedzy, gawędziarz. No i te jego opowieści mnie tak zafascynowały, że do dzisiaj tym żeglarstwem się ciągle interesuję. No w każdym razie to była moja taka odskocznia, bo później już przeszedłem do szkoły średniej, gdzie no ciągle w szkole mi się nic nie zgadzało. Były codziennie apele jakieś, na których czytano nam prasówki o koreańskich walkach, o tym jak jak tam napalmem dzieci koreańskie mordują, jak to... śpiewaliśmy Międzynarodówkę. Pamiętam, że któryś z moich kolegów, to już mówię o szkole średniej, 9 klasa to była, gdzieś zdobył jakieś płyty rock'n'rolla, z nagraniem rock'n'rolla i co pewien czas były takie wieczorki taneczne organizowane, na których dominowały przeważnie, no, melodie takie ludowe, no ale na tym patefonie czy to patefon, czy czy jakiś adapter, już nie pamiętam, odtworzono te melodie. No i myśmy tam, jak nam intuicja i wiedza, skąpa wiedza pozwalała, te figury rock'and'rolla staraliśmy się naśladować, jakieś takie przejścia, powiedzmy sobie wymachiwanie nogami i tak dalej, i tak dalej. No i proszę sobie wyobrazić, że nie minęło kilka dni, kiedy na jednym z takich apeli porannych przyjechał młody człowiek z tzw. „dzielniccy”, w czerwonym krawacie, a jakże! No i mówi: „Doszły nas słuchy, że tu, w tej szkole, dzieją się złe rzeczy. Niech wystąpią ci, którzy tańczyli rock'and'rolla”. To myśmy wystąpili tam w kilku. I mówi tak: „to są czarne owce, to oni propagują amerykański styl życia. Dzisiaj tańczą rock'and'rolla, a jutro będą dzieci koreańskie napalmem będą chcieli mordować”. Jak ja to usłyszałem, to w ogóle zbaraniałem? Kto tu mówi o mordowaniu dzieci? Ja widziałem jak mordowali dzieci, ale Niemcy! Ale dlaczego ja mam mordować dzieci? W ogóle to było dla mnie nie do pomyślenia, taka sekwencja. Co najciekawsze, to grono pedagogiczne nie zareagowało na te sformułowanie. Stali jak trusie i od tego momentu mnie szkoła w ogóle zaczęła mierzić. Zacząłem się coraz gorzej uczyć. Często na wagary chodziłem. A w tej Lidze Morskiej już osiągnąłem, zdobyłem stopień żeglarza, bo byłem na kursie jakimś tam w Kruszwicy. Pamiętam, zdobyłem pierwszy stopień żeglarski i dostałem pod opiekę żaglówni tzw. „pioniera”. „Pioniera”, który w czasie okupacji był po-

tajemnie budowany przez Juliusza Sieradzkiego i skutnika takiego, Jarosz się nazywał, na Czerniakowie oni to zbudowali. Miałem tego „pioniera”, to była płaskodenna łódź. Miała 12 metrów kwadratowych żagla. No i tam można było dwóch kolegów ze szkoły zawsze wziąć. I myśmy na tym „pionierze” robili długie wyprawy, takie wagarowe w górę Wisły. No ale kiedyś się wróciłem tą łódką i sytuacja była taka, że wiedziałem, że łódka nie tonie. Ja im powiedziałem: „łubowiczówka nie zatonie, trzymajcie się łódki, wylądujemy na jakimś piachu”. To już było chyba w 10 klasie, tak że już byłem trochę obeznany z wodą. I proszę sobie wyobrazić, że dryfujemy gdzieś tam, w okolicach Gocławia. Nurt niesie nas w kierunku brzegu. I przy brzegu stoi barka. Barka z faszyną. Faszyna to jest taki element, taka roślina, wiklina właściwie, którą umacniało się brzegi. I w pewnym momencie ta zanurzona burta łodzi natrafia na linę kotwiczną tej barki, która była zakotwiczona bardziej w kierunku nurtu. I po tej linie, jak po... zaczyna sunąć w kierunku dziobu barki, która jak paszcza potężnego Lewiatana czeka tylko, żeby pod siebie wciągnąć nas wszystkich. Więc ja mówię: „chłopaki, odpływamy”. No i na szczęście potrafili trochę pływać. Zresztą kawałki mieliśmy. I płyniemy wzdłuż tej burty, tej barki i słyszę tylko chrupanie pod nią, jak się przewala ta nasza łódka. Miażdży się maszt, sterownica. No i za sterem, za tą barką wypływa obraz nędzy i rozpacz. Kadłub poszarpany, maszt połamany, żagiel podarty, wyłamana skrzynia mieczowa, urządzenie sterowe zmiżdżone. No więc mówię: „wszystko musimy pozbierać”, bo potrzeba nam... W tej Lidze Morskiej, to już chyba LPŻ, bo LPŻ przejął Ligę Morską, później i Ligę Lotniczą. Sprzęt był bardzo na wagę złota. Ktoś kto miał pod opieką sprzęt, to był odpowiedzialny za to. No więc wszystko to pozbierali do kupy. I dryfują tak dalej z prądem. Powiązałem te liny, które tam były, te szoty jakieś, fał jakiś wyciągnąłem foka i z pagajem udało mi się odpłynąć w kierunku płytszej wody. Macam nogami gdzie jest płycej i tak takimi cyklami ze dwa, czy trzy razy udało mi się ją na mieliznę wyrzucić. No postawiliśmy łódkę, zatkaliśmy tą wyłamaną skrzynię z resztkami żagla. I tak dopłynęliśmy do brzegu, znaczy dopłynęliśmy do przystani. Tam oczywiście był kierownik, który to widział. No i mówi: „No, chłopcy, macie teraz zapewnione wakacje. Musicie to wszystko wyremontować”. No i koledzy tam mi pomagali przez pewien czas, a później wykruszyli. No i ja sam to remontowałem, z takim skutnikiem. Udało mi się to naprawić i wtedy się nauczyłem właśnie dużo skutniczej roboty, ale to jako taki fragment tutaj wstawiłem. Teraz... Skończyłem szkołę średnią. Z trudem, ale udało mi się skończyć. Dostałem maturę i chciałem się dostać na budowę okrętów do Gdańska, na Politechnikę Gdańską. Tam złożyłem papiery, pojechałem tam. Jednego kolegę namówiłem z klasy, żeśmy pojechali, pełni nadziei i planów na przyszłość zdawaliśmy egzaminy. Zdaliśmy egzaminy, ale z powodu braku miejsc obaj nie dostaliśmy się. Natomiast dowiedziałem się, że przyjęto 30 Koreańczyków, właśnie tych, których tak Amerykanie mordowali, bez egzaminu przyjęli. No, w każdym razie rok do tyłu jest. Wracam do domu. Ojciec mówi: „Nie przejmuj się, ja zdawałem sobie sprawę, że się nie dostaniesz”. No i mój ojciec przyjął to no na klatę tą sprawę i mówi: „Nie ma sprawy”. Ja mówię: „Tato, ja pójdę do pracy, bo wiesz, ja nie chcę tutaj na waszym garnuszku siedzieć”. No, ale ten kolega, taki Andrzej Lipiec się nazywał, jak wrócił do domu, to ojciec mu straszną awanturę zrobił, bo sobie za dużo obiecywał widocznie i mnie się udało zorganizować rejs. Taki rejs, to były wakacje jeszcze, i ojciec mi pozwolił, mówi: „słuchaj, to do pracy pójdziesz na jesieni. A teraz żegluj!”. A w naszym klubie, to już był klub LPŻ, Ligi Przyjaciół Żołnierza, były zasady takie, że nie wolno nam było pływać w dół Wisły, tylko w górę. A ja chciałem płynąć na Mazury, bo już byłem na obozie takim w Giżycku, no i tu kolegom ze szkoły naopowiadałem, że jakie to piękne są jeziora, że na Śniardwach nie widać drugiego brzegu, że to jak morze, no i że koniecznie chcieli płynąć ze mną. Dogadałem się z takim bosmanem, który był w tym klubie, z tym, że może... bo to znowu jest długa historia. Myśmy popłynęli wbrew wszystkim zasadom. Bosman przyjął na klatę nasz rejs, mówi: „tylko muszę dostać co tydzień od was kartkę z trasy”, bo my rzekami przez Modlin płynąc pod prąd Bugonarwią, Narwią, Pisą, dopłynęliśmy na jezioro Roś. Później aż do Giżycka dotarliśmy. No

w każdym razie dwie kartki pocztowe tygodniowo żeśmy wysyłali, żeby... bo on mówi tak: „jak nie dojdzie przez tydzień wiadomość od was, to ja zgłaszam na milicję, że ktoś ukradł łódkę”. Pływało nam się fantastycznie. Poznaliśmy ciekawą grupę żeglarzy. Na takiej poniemieckiej łodzi. Ale to będzie dalsza historia, tylko że chyba nie teraz, kiedy indziej może opowiem. No w każdym razie po 6 tygodniach, tam były przygody, dostałem zastrzał w palec, bo chciałem sobie już palec obcinać na Pisie, bo mi spuchł i rwał jak jak nieszczęście. No ale w każdym razie w Piszku jakoś felczer wojskowy mi to z operował. No i wracamy. 6 tygodni nas nie było. Wracamy. Dopływamy do Modlina. Nie ma wiatru. Pływie holownik w górę Wisły, ciągnie barki. No i ja pamiętam, mówię: „Trzeba starą metodę zastosować i alkoholem go zważyć”. Ale nie mieliśmy alkoholu, tylko butelka po wódce była. Nalaliśmy trochę wody do środka i jak ten holownik był na naszej wysokości, to ja tą półlitrowką zacząłem wymachiwać. On troszkę zwolnił, myśmy się przyczepić do ostatniej barki, to się przed Warszawą odczepił i „dęba damy”. I tak nas holował do Łomianek. Ale mu się czas pracy chyba skończył, bo ciemno się zrobiło. Stanął przy brzegu, no i myśmy tam coś zaczęli pichcić w garnku, jakieś mieliśmy ziemniaki gdzieś dzierzawione na jakimś polu, No i mówi: „No chłopaki, to bierzcie tę połówkę i zapraszam was na kolację”. „Ale panie kapitanie, muszę się uderzyć mocno w piersi. Ja pana oszukałem, tę połówkę to myśmy wypili trzy tygodnie temu, to była woda”. A mówi: „A łotry! No dobra, to chodźcie na kolację, ale za karę musi któryś z was, kto najlepiej opowiada, opowiedzieć całą historię waszego rejsu”. No taki fajny facet, taki był wodniak kurczę, z krwi i kości. No, poszliśmy na ten jego holownik. Były ziemniaki ze skwarkami, a jakże! Jedzenie takie było, bo myśmy cienko tam przędli. No w każdym razie, jak tam kolega taki był bardzo elokwentny, lepsze wypracowania ode mnie pisał, także zaczął to wszystko opowiadać z detalami, trochę humorystycznych takich wplótł motywów. No to on mówi: „Chłopaki, wy gdzie tam, na Czerniaków chcecie się dostać? Dobra, ja mam barki zostawić w porcie Praskim. Ja was później wezmę na hol i zaciągnę was pod ten wasz klub”. Ja mówię: „No dobra, jeśli łaska”, bo to przecież prąd jak nieszczęście pod tymi mostami, a wiatru prawie wcale nie było. No i zostawił te barki, wziął nas na hol i ciągnie nas na pełny... pamiętam, że to był holownik Drwęca, dwuśrubowiec taki, potężny pchacz taki, właściwie to i pchaczem mógł być i on ciągnął te barki. W każdym razie ciągnie nas, my na takiej fali wielkiej suniemy. Boję się, żeby się nie wywaliła ta łódka. No ale w każdym razie, na takim gazie podpływamy tam do pomostów. Stoi oczywiście bosman na pomostach. No i rozpędem do samego pomostu dobijamy i meldujemy się u bosmana. A on mówi: „No to jak lordowie żeście wrócili z tego rejsu, co wyście temu kapitanowi dali, że on do Was tutaj przyciągnął?”. A my mówimy: „żeśmy go okłamáli”. No i śmiał się, Zacharzewski się nazywał ten bosman, jak dziś pan Stasiu Zacharski, taki facet. No, w każdym razie ten rejs się skończył i ja poszedłem do pracy. Najpierw znalazłem pracę z ogłoszenia w zakładach telewizyjnych, Warszawskich Zakładach Telewizyjnych na Matuszewskiej. Tam przy Olszynie Grochowskiej, przy tej stacji Olszynka Grochowska. No i jeździłem codziennie na rowerze tam. W galwanizerni zacząłem pracować, ale się szybko zorientowałem, że tam jest strasznie niezdrowa praca. Widziałem tych tych pracowników. Zęby mieli, że tak powiem, zdziesiątkowane, przerzedzone. Poza tym, no fizycznie byli też bardzo nadszarpnięci. I moim zadaniem, bo tam otwierany był nowy dział galwanizerni i moim zadaniem było napełnianie wanien tym elektrolit... Wiem, że tam były beczki z cyjankiem sodu, z solą kaustyczną i tak dalej. No ja w związku z tym, że potrafiłem procentowo obliczyć ile tam w stosunku do pojemności tego, no to to robiłem. Tam mi pomagali ci robotnicy, ale szukałem innej pracy. Jadąc na rowerze często widziałem piaskarzy i chciałbym tam u nich pracować, ale nie udało mi się tam załapać i przypadkowo zupełnie trafiłem na ofertę pracy w Zakładach Aparatów Matematycznych na ulicy Śniadeckich. To był taki doświadczalny zakład, gdzie prototyp maszyny cyfrowej budowano, ZAM-1 tam był budowany. No i tam pracowałem jako laborant taki, w dziale naprawy przyrządów pomiarowych. Miałem takie manualne zdolności, także nieźle, że tak powiem, obrabiałem metal. Nie tylko metal i inne

materiały. Także tam robiliśmy te starzenie elementów elektronicznych, ale to już są szczegóły. Tam pracowałem, później składałem, w następnym roku składałem dokumenty, papiery na Politechnikę Warszawską, na budownictwo wodne. Nie dostałem się. A ciągle wojsko deptało po piętach, także... Wiem, że te komisje wojskowe były na wiosnę. I ja przedstawiałem dokumenty, że złożyłem papiery na uczelnię i odraczano mnie o rok, na następny rok. No i to już było moje drugie chyba, nie, pierwsze odroczenie. Następnie nie rozpocząłem studiów, pracowałem w dalszym ciągu w tym Zakładzie Aparatów Matematycznych, ale równolegle uprawiałem też żeglarstwo. I żeglarstwo wodne i lodowe, w tym czasie. W każdym razie, w następnym roku składałem, bo wiedziałem, że to wojsko wisi nade mną, składałem dokumenty na SGGW, na meliorację. Ciągle ta woda mi tam po głowie chodziła, Na melioracji zdałem egzamin, na melioracji nie było miejsc, to na rolno mnie przerzucili, znaczy dali mi ofertę rolnego. To ja żeby przed tym wojskiem się jakoś uchronić, to zacząłem jeden semestr, byłem na tym rolnym, ale to mi zupełnie nie leżało. Poza tym ja z matmy byłem słaby, za słaby, a tam już było sporo matmy. No i w każdym razie zrezygnowałem po jednym semestrze. No i zaczęło... zbliżała się komisja wojskowa, już chyba druga czy trzecia. Trzecia chyba. No w każdym razie do naszego klubu przyszło dwóch praktykantów z Akademii Wychowania Fizycznego, którzy... Jeden z nich mnie namówił na uprawianie właśnie tego żeglarstwa lodowego. Taki Heniek Ziemkiewicz, bardzo fajny, bardzo dobrze go wspominam. Niestety już nie żyje. I on tak się mnie przyjrzał, obwąchał mnie i mówi: „Wiesz co, pojedziesz na Mistrzostwa Polski juniorów na bojerach”. Ale mówię: „ja nigdy na bojerze nie siedziałem”. „Nie szkodzi. Pojedziemy wcześniej tydzień do Giżycka i ja cię nauczę obsługi bojera”. A byłem sprawny fizycznie. No i proszę sobie wyobrazić, po tygodniu już pojąłem, miałem to żeglowanie na Wiśle dobrze przećwiczone, bo w wielu regatach startowałem. No i 3 miejsce zająłem i wtedy mi LPŻ, jeszcze LPŻ był, przydzielił mi taki bojer mały. To była taka ósemka ludowa, jednoosobowy, bo duże bajery, to były dwuosobowe. No i ja startowałem na tym. Ale dzięki właśnie temu kontaktowi, namówił mnie ten Heniek Ziemkiewicz, żeby na AWF iść, mówi: „Słuchaj, ty na AWF-ie będziesz się dobrze czuł”. No i zdawałem na AWF. Pół roku się przygotowywałem, jak dziki, ćwiczyłem gimnastykę. No, różne takie... starałem się wszechstronnie rozwinąć. I muskulaturę i koordynację. Na dobrego też trenera gimnastyki trafiłem. Także gimnastykę przyrządową uprawiałem. No i zdawałem egzaminy. Popełniłem parę błędów przygotowawczych. Teraz z perspektywy czasu widzę, że nie ćwiczyłem wydolności ogólnej. I ja na takim teście biegu na 1000 metrów to mało zapasów nie dostałem. Tak, straciłem prawie przytomność, wymiotowałem po dobiegnięciu do mety. Ale dobiegłem. I tam zaliczyłem jakoś ten bieg. No w każdym razie dostałem się na ten AWF i trzymałem się pazurami, żeby mnie nie wykopali. A tam po 1 roku wyrzucali, jak ktoś nie zaliczył 2 przedmiotów. No i udało mi się wszystko zaliczyć. No i skończyłem studia na AWF-ie. Bardzo dobra uczelnia. W tamtym czasie tylu ciekawych ludzi spotkałem. Był tam unikalny rektor wtedy, kiedy ja zaczynałem. On tylko przez rok tam był jeszcze rektorem. Generał Zygmunt Gilewicz, kawalerzysta, który na takim wykładzie inauguracyjnym naszego rocznika w '59 roku powiedział, taką sentencję wygłosił: „Proszę państwa, jesteście na unikalnej uczelni, gdzie musimy odpowiedni standard zachowania utrzymać. To, że ktoś jest pochodzenia chłopskiego czy robotniczego, to go nie upoważnia do chamskiego zachowania. Chamstwo będziemy tępić z całą konsekwencją”. Jak ja to usłyszałem! Mówię: „to jest to!”. No i rzeczywiście to był facet nieprzeciętny. Pamiętam, na wiosnę myśmy organizowali sobie takie ogniska, mieliśmy dość duży teren, jeszcze większy teren niż obecnie, tam w Lasku Bielańskim i my na dole tam organizowaliśmy sobie takie ogniska. I on do nas przyjeżdżał na koniu. Miał konia na terenie AWF-u, mieszkał na terenie AWF-u. Przyjeżdżał i opowiadał swoje swoje przeżycia m.in. z Powstania Warszawskiego. On był z wykształcenia lekarzem, chirurgiem. I on przekazywał nam takie swoje spostrzeżenia, że człowiek ma nieograniczone, jak on to nazwał, niewyobrażalne możliwości przeżywania w sytuacjach bez... krytycznych czy ekstremalnych. Wyobraźcie sobie, przytoczył nam swoje

doświadczenie z Powstania, On na Starówce był: „Przyniesiono mi chłopaka z odłamkiem w czaszce, nieprzytomnego. Koledzy go przynieśli i mówią Doktorze, ratuj! Ledwo wyczuwalny puls. No i w sytuacji krańcowo nie sterylnej, w piwnicy, przy karbidówce musiałem się podjąć operacji trepanacji czaszki. Robiłem tylko dla tych chłopaków, dla jego kolegów, bo żeby wiedzieli, że się ktoś zajął tym umarlakiem prawie. Wydobyłem ten odłamek mu z tej głowy. Trepanację robiłem, nie było narzędzi odpowiednich, to robiłem wiertarką ślusarską, ręczną wiertarką ślusarską nawiercałem tą czaszkę. Usunąłem mu ten odłamek. Alkoholem jakimś zdezynfekowałem. Został zabandażowany tym, co było, jakieś płótno niesterylne. I został odłożony. To ten chłopak odzyskał przytomność i przeżył. Słuchajcie, przeżył! To w ogóle jest niewiarygodne. Ja sam nie wierzyłem. Podczas operacji było bombardowanie. Z sufitu sypały się cząstki tynku. No to było w ogóle niewiarygodne, że ten młody organizm dał sobie radę z tym wszystkim”. I on to nam opowiadał tak otwartym tekstem. I mówi, że nigdy nie wolno, że tak powiem, kogoś skazać na śmierć bez niesienia pomocy. No to takiego miałem rektora i wykładowcę jednocześnie. Zresztą było tam wielu ciekawych ludzi Na AWF-ie. Spotkałem takiego, nazywał się Zygmunt Bielczyk, powstaniec warszawski. Był kierownikiem Zakładu Narciarstwa i Żeglarstwa. Ja najpierw pracowałem w Zakładzie Teorii Sportu, później to Biomechanika była. Ale z tym kierownikiem Zakładu nie bardzo mogłem wspólny język znaleźć. On był kształcony w Związku Sowieckim, także przeszedłem po 3 latach pracy u niego do pracy w Zakładzie Narciarstwa. No i tam bardzo ciekawie mi się pracowało. Miałem te wyjazdy na obozy narciarskie, żeglarskie. Ale później zgłosił się taki kolega z mojego roku, Michał Siegierzyński, który organizował w Polskim Komitecie Olimpijskim Zakład Odnowy Biologicznej dla sportowców, tego najwęższego wyczynu. I mówi: „ile Olaf, miałem pseudo Olaf wśród kolegów, ile tu zarabiasz?”. No ja tam zarabiałem 920 złotych wtedy, jako starszy asystent na AWF-ie. No to mówi: „To ty kiedy zamierzasz mieszkanie własne mieć?”. Ja mówię: „nie wiem, nie potrafię jeszcze obliczyć ile”. Zresztą te pieniądze ledwo wystarczały na bieżące wydatki, bo starałem się rodziców jakoś nie obciążać swoimi wydatkami. No i on mówi: „słuchaj, ja organizuję grupę”. Aha, w międzyczasie, kiedy studiowałem na AWF-ie, skończyłem jeszcze specjalizację z zakresu rehabilitacji aparatu ruchu u profesora Weissa. To było w Konstancinie, myśmy tę specjalizację przechodzili. No ale praca w szpitalu mi nie leżała, bo ja za wrażliwy byłem. Pamiętam, że w czasie tych praktyk, które tam miałem w Konstancinie, trafiliśmy na skoczka, Hryniewiecki się nazywał, który w Wiśle dostał podmuch wiatru na górne powierzchnie nart i wylądował na karku. Złamanie odcinka szyjnego kręgosłupa, quadriplegia, czyli porażenie totalne. Leżał unieruchomiony. No i myśmy tam przychodzili, żeby go rehabilitować. On ciągle pytał: „Chłopaki, kiedy ja stanę na nogi?”. Myśmy wiedzieli, że to jest beznadziejna sytuacja. No, w każdym razie to zaważyło, że ja powiedziałem, że ja w szpitalu nie będę pracował. Ja nie mogłem się uspokoić po takim spotkaniu z nim. No i ten kumpel przyszedł, ten Michał Siegierzyński, mówi: „Słuchaj, będziemy sportowców, będziemy stosowali profilaktykę urazów sportowych. Czyli odpowiednio będziemy ich tam masowali, kąpiele różne w roztworach soli, takie nie siakie. Ja tu mam pewien plan”. On zresztą pracował w tym czasie, bo to już było 5 lat po skończeniu studiów. On był asystentem u profesora Łukasika w praskim szpitalu, na ortopedii pracował jako jego asystent. Zrobił doktorat zresztą, także bardzo zresztą doskonały szybownik. Miał wiele odznaczeń szybowcowych, także ciekawy... Z mojej grupy był, taki fajny chłopak. No w każdym razie zdecydowałem się zerwać z AWF-em i przeszedłem do Polskiego Komitetu Olimpijskiego, PKOl-u. W ,70 roku zmarł mi ojciec. Też zmarł mi w samochodzie, bo ja już wtedy miałem samochód, bo udało mi się wyjechać do Holandii, tam pracowałem na wakacjach. Na motocyklu zresztą pojechałem do Amsterdamu. U kolegi bojerowca pracowałem... Aha, bo w międzyczasie jeszcze zdobyliśmy tam mistrzostwo, rekord szybkości na bojerach. I ten Holender, w związku z tym, że u nich nie było zim takich mroźnych, to przyjeżdżali tutaj na zawody i na treningi. I on mnie zaprosił do siebie. No i tam zarobiłem, tyle że mogłem używany samochód kupić. No ale to inna sprawa jest.

No ale dzięki temu mogłem z ojcem pojechać latem do Giżycka, gdzie załatwiłem jacht. Zresztą jacht znany, „rekin”, na którym był kręcony „Nóż w wodzie”. No i tam żeśmy... I mama moja pojechała, i ojciec, i mój brat, i myśmy żeglować tam cały dzień. I w pewnym momencie ojciec się źle poczuł i mówi: „Słuchajcie, muszę wracać do Warszawy, bo się źle czuję”. Dobra, wróciliśmy do portu, do samochodu i jedziemy do Warszawy. No i na za Kolnem ojciec stracił przytomność, miał wylew krwi do mózgu. Zawróciłem do szpitala w Kolanie. No niestety nie udało go się tam odratować i zmarł. No ale miał taką komfortową śmierć, Cała rodzina była w zasięgu ręki jego. No ale to jest inny temat. W każdym razie ja przeszedłem do PKOl-u. I tam dostałem w pierwszym rządzie opiekę nad kadrą szermierzy. Bardzo ciekawa grupa ludzi. Inteligentni, błyskotliwi, kobieciarze. Także z nimi wyjeżdżałem na zgrupowania i pamiętam w ,72 roku jesteśmy w styczniu na zgrupowaniu w Wiśle. Przychodzi telegram, że mam się stawić do Warszawy w trybie natychmiastowym. Nie powiedziano po co, do PKOl-u. Przyjechałem tutaj, okazuje się, że mam jechać na Olimpiadę do Sapporo, z tym Michałem Siegierzyńskim. No i pojechaliliśmy już jako ekipa na zimową Olimpiadę, jako ekipa odnowy biologicznej. No i później była jeszcze następna Olimpiada w Monachium, w tym samym roku też byliśmy. No i później widziałem, że zaczyna coraz więcej ludzi się tam wpychać do tego naszego zespołu ludzi takich ustosunkowanych, nazwałbym to. Aha, i w czasie pobytu w Monachium... A jeszcze jak pracowałem na AWF-ie, to ze Stanów Zjednoczonych przyjeżdżał doktor Russel Strasburger, on się nazywał, który pracował na Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego w West Chester w Pensylwanii. No i była taka sytuacja, że ci, powiedzmy kierownicy Katedr nie bardzo się nim chcieli zajmować ze względów, żeby ich partia nie posądziła o kontakty z obcym wywiadem. A mnie było wszystko jedno. Ja byłem asystentem, mało zarabiałem, nie byłem w partii, nikt mnie, że tak powiem, nie indoktrynował. Miałem swój punkt widzenia, a nawet go nie potępiałem. No i proszę sobie wyobrazić, że zaimponował mi ten człowiek. To był zresztą w czasie II wojny światowej był pilotem, latał na B-17, na Dalekim Wschodzie walczył. Dla mnie był kimś. Kimś takim, z kim warto się zadawać. No i na basen z nim chodziłem, na piwo, woziłem go na motocyklu. Z piwem był problem wtedy w Warszawie, bo to był ,68 albo ,69 rok. Tośmy na Dworzec Główny jeździli, w tym barze, bufecie piwo piliśmy. No i on, jak się dowiedział, że ja jestem w Monachium na Olimpiadzie, bo on tam przyjechał ze swoimi studentami, no i chciał ze mną nawiązać kontakt. Ja mu powiedziałem: „Słuchaj, musimy spotkać się na terenie neutralnym, bo mnie nie wolno, nie mogę cię do wioski, do naszego tego zaprosić”. Zresztą jego nie wpuszczali na teren wioski, bo on mieszkał w miejscowości, poza Monachium, Ruppolding chyba ona się nazywała. No w każdym razie mówi: „Słuchaj, ja chciałbym, żebyś ty miał taki jakiś wykład krótki dla moich studentów, żebyś opowiedział, jak, co, jak pracujecie z zawodnikami i tak dalej, i tak dalej”. Ja idę do Michała, mówię: „Słuchaj, Michał, jest taka sytuacja”. On mówi: „jedź, co się przejmujesz? Jedź, bracie, będziemy cię tu kryli”. No i ja tam zrobiłem myk taki i jednego popołudnia tam byłem. Parę dolców zarobiłem za ten wykład. Wróciłem. No ale to dobrze, że to się tak nie rozniosło, bo bym mógł być wtedy podłączony do Jurka Pawłowskiego, bo on też był na tej Olimpiadzie wtedy także, ale to już jest inna historia. Nie będę się zagłębiał w te detale. No, w każdym razie tam go poznałem... Tam się spotkałem z tym Russellem. No i później on mi przysłał zaproszenie, że bym na wymianę pracowników do niego pojechał. Nie dostałem paszportu. Bo to było już po tym... Bo miałem na olimpiadzie paszport służbowy, a tego nie dostałem. No i to się urwało. Ale później mi się jakoś udało wyjechać za granicę. No, w każdym razie po powrocie, ponad półtora roku mnie nie było. Byłem w Kanadzie, bo do Stanów Zjednoczonych nie dostałem wizy z kolei. Pracowałem w szpitalu, bo musiałem jakoś zarabiać. Pracowałem w szpitalu i później matka zapadła trochę na zdrowiu. Ojciec już nie żył, także postanowiłem wrócić. No i wróciłem. No i udało mi się wrócić do pracy w Polskiej Federacji Sportu. W tej samej branży, prowadząc gabinet odnowy biologicznej. No i zostałem kierownikiem, bo ten Michał wyemigrował do Austrii w międzyczasie, jak mnie nie było. No, w każdym razie później pracowałem już

w Centralnym Ośrodku Sportu. Na Torwarze zorganizowałem taki gabinet głębokiego relaksu, bo to były moje doświadczenia z Kanady, bo jeszcze w Szwecji przedtem też byłem, w szpitalu pracowałem. W każdym razie, po tych doświadczeniach swoich, to prowadziłem tą profilaktykę przeciążeń psychofizycznych zawodników. I tak do emerytury pracowałem. Teraz jestem już od 12 lat na emeryturze. Oddaję całkowicie się swojemu hobby, czyli żeglarstwu oddałem. W międzyczasie, jeszcze w '63 zrobiłem sternika morskiego, później poprzez weryfikację zrobiłem kapitana. I żegluj! Ile się da, to żegluj. Bardzo ciekawych ludzi się spotyka na morzu. Mam swój punkt widzenia na oddziaływanie morza na psychikę ludzką. Najlepszy dowód, że miałem takiego... miałem syna, który był trochę miglancem i takim, no, trudnym dzieckiem, nazwałbym to. Chodził do do szkoły, do technikum mechanicznego, tutaj na Okopowej, do Konarskiego. Tam nie najlepiej się uczył. I proszę sobie wyobrazić, że była taka sytuacja, że mogłem go wziąć na rejs. Na rejs odstawczy kapitana Baranowskiego z Portugalii do Łeby, bo on robił rejs dookoła Świata samotny, do Vilamoura w Portugalii i tam się z nami spotkał i płynęliśmy do Łeby. I między innymi udało mi się syna wziąć na tą wyprawę. Ale co najciekawsze, to poszedłem do dyrektora tego technikum i powiedziałem: „Panie dyrektorze, ja wiem, że mój syn jest trudnym uczniem, ale sądzę, że ten rejs mu bardzo pomoże w wyprostowaniu się jego charakteru. Bardzo proszę, żeby pan pozwolił mu przed egzaminami wyjechać na ten rejs”. Bo myśmy tam musieli dotrzeć na początku czerwca. W każdym razie zgodził się ten dyrektor, bardzo mądry człowiek. Na Atlantyku trochę dostaliśmy w kość, także syn spokorniał, zaczął słuchać starszych. Zaczął szanować umiejętności, które inni mają. Nie był najmędrzy na podwórku i po powrocie zaczął się dobrze uczyć. Odstał od tej swojej grupy tych, którzy uważali, że nie warto się dobrze uczyć. Skończył te technikum z dobrymi ocenami. Nawet w nagrodę wyjechał na taki obóz narciarski, bo ten dyrektor szkoły właśnie nagradzał najlepszych uczniów wyjazdami na narty. Zdał na Politechnikę. Skończył politechnikę. Pracował w biurze projektowym metra. Budował pierwszą linię metra, teraz drugą linię metra buduje. No i to jest chłopak, którego się nie muszę wstydzić. I twierdzę, że go Atlantyk przecwiczył tak, że jest porządnym człowiekiem. No, nazwałbym to tak. Solidny, wie, że czego się nie zrobi na lądzie, to na morzu będzie 3 razy, 10 razy trudniej to zrobić, albo się w ogóle tego nie zrobi. No i daje sobie radę. Także tak to oceniam, że żeglarstwo morskie jako bardzo wychowawczy element dla młodzieży. Tylko ważne jest, żeby kadra prowadząca ten rejs była na odpowiednim poziomie, żeby nie uczyli ich takich rzeczy, które przylgnęły do żeglarzy czy marynarzy, że to są pijaki, że... I tak dalej, i tak dalej. W każdym razie uważam, że to jest dobry kierunek wychowywania młodzieży. No i tyle. Teraz jestem człowiekiem na emeryturze, wolnym. Mam pięcioro wnuków, z dwóch miotów, bo mam jeszcze córkę, mam też, która też nieźle się uczyła. Ona zawsze była pracowita, 2 fakultety skończyła, także pracuje na Akademii Wychowania Fizycznego. W każdym razie ma trójkę dzieci. Niej się nigdy nie musiałem wstydzić, ale ją też na morze wziąłem, na wszelki wypadek. Ale to już na Pogorii żeśmy płynęli, to był taki rejs, dość krótki, do Sztokholmu i z powrotem. No ale też się trafiło trochę chwiejby, także... Ona dwa razy nawet płynęła, na Pogorii, a później na Szopenie płynęła z Bergen do Esbjergu. Pamiętam to było też w ramach Tall Ship'ów, ale to jeszcze były..... organizowane przez tą firmę produkującą whiskey. Także myślę, że to był dobry kierunek wychowawczy. Na sobie też to sprawdziłem i przestałem być jakimś takim obwiesiem, który piwko pod budką by wciągnął, komuś manto spuścił, albo... Albo dziewczynkę jakąś tam gdzieś w krzakach przycisnął. No to tyle mojego życiorysu. Myślę, że wyczerpałem ten temat i jeśli można, to przejdziemy do następnego punktu.

